

Po premierze w Teatrze im. Osterwy

ROBIENIE sztuki o symbolu może być nudne, a rezultaty bywają oplakane. Niejednemu twórcy powinęła się na tym noga, zwłaszcza gdy symbol był nie najczystszej wody, a i talent autora dzieła również. Natomiast spółce: Dale, Wasserman, Leigh rzecz się powiodła, a zweryfikował ten sukces triumfalny pochod musicalu „Człowiek z La Manchy” przez najbardziej prestiżowe sceny świata.

CO takiego jest w tym Don Kichocie, że nawet dziś, gdy lat od prapremiery minęło wiele, a musical dowędowniał nad Wisłą, ludzi wciąż to interesuje, ba, autentycznie wzrusza? Przecież nie lubimy być pouczeni i umoralniani, mamy tego, mówiąc trywialnie, po dziurki od nosa, a ten spektakl nie robi nic innego. A jednak realizuje to jakoś szlachetnie, poruszając struny odwiecznej i uniwersalnej tęsknoty, która jest zapewne w każdym człowieku. Tęsknoty za czystością intencji, wiernością przeko-

robi to wystarczająco dobrze, a co najistotniejsze, prezentuje tę niezwykłą mieszaninę wybujałej egzaltacji i pełnej względów staroświeckiej delikatności i galanterii, która nadaje tej postaci nośność i wdzięk. Bardzo dokładnie pokazuje nam Pudziańskiego, że to nie stetryczalność i upór muła, ale niezłomność ideałów i wzniosłość ducha w kruchym ciele czynią jego bohatera błędnym rycerzem. Chwała mu za to, że umiał pokazać piękno, a nie sugerować anachroniczność pogromcy wiatraków i smoków.

Dużego formatu osiągnięcie może też zapisać na swym koncie Dulcynea - **Teresa Filarska**. Pokazała nam, że kobieta może upadać naprawdę w wielkim stylu i to nie tylko w tej scenie, gdy miękko stacza się ze stołu na ławę, a z ławy na ziemię. Następnie udowadnia, że podnosić się i odtąd nieść wysoko głowę potrafi równie przekonująco. Ta para potrafi

A inkwizycja tuż, tuż...

naniom, zrealizowaniem ideałów wbrew dyktatowi rzeczywistości i bez względu na cenę. Don Kichot - najbardziej obśmiewany bohater wszechczasów tak heroiczny, nie tyle w swej odwadze, co w całkowitym braku obawy przed śmiesznością, dlatego wciąż się podoba, bo tęsknimy zawsze za tym, czego nam osobiście brakuje. Jak mówi słusznie utwór, fakty często przeczą prawdzie. Ten spektakl taką właśnie prawdę ma.

ATRAKCYJNOŚĆ dla potencjalnych realizatorów jest tu spora i trzeba powiedzieć, że nie przeoczyli jej tacy twórcy jak choreograf **Jacek Tomasik** - świetne są zwłaszcza sceny walk. Za największą zaletę lubelskiej realizacji uznają jej płynność. Rozbudowane, odmienne w nastroju, kolorystyce i realiach sceny, stapiają się w niczym nie zmaczoną narrację, przenikają jedna w drugą i to, że widz nie dostrzeżga żadnych punktów granicznych, pozwala mu nawet odżalować brak przerwy.

Koncepcja plastyczna autorstwa reżysera widowiska - **Andrzeja Rozhina**, jest prosta, skrótowna, jedyny luksus to wielofunkcyjna nawa w głębi sceny, kapitalnie wykorzystana. Całość koresponduje w pewnych rozwiązaniach z pokazaną u nas inscenizacją węgierską. Tam było jednak bardziej surowo, zgrzebnie, topornie, tu u nas jest bardziej malowniczo, na podobieństwo starego fresku. Elementem zbyt dosłownym i naturalistycznym w spektaklu o wymiarze tak uniwersalnym, jest dla mnie ogromny, „boleściwy” krucyfiks.

CHOĆ trudno odmówić ostatnimi czasy zespołowi aktorskiemu twórczego zapału, to trzeba powiedzieć, że tym razem ponosi on trudy wygrania spektaklu z wyjątkowym oddaniem. Wystawić musical - to brzmi bardzo prosto, ale pamiętajmy, że wszystko dzieje się w teatrze dramatycznym, gdzie łatwo byłoby o imitację - coś musicalopodobnego, co udaje musical z takim skutkiem, jak czekoladopodobna pralinka gorzką Wedlowską. Udało się. Jednak zachodzi obawa, że kierownik muzyczny **Mieczysław Mazurek** może się wkrótce w teatrze dramatycznym rozchorować z przepracowania. Natomiast artyści trenowali z takim zapałem, że na premierze niektórzy śpiewali nie jednym głosem, ale dwoma. Brawa, jakie zasłużenie otrzymali, wynagrodziły te dyskomforty.

Zbigniew Pudziański jest wymarzoną Don Kichotem. Śpiewa może inaczej niż Pavarotti, ale

rozegrać i wyśpiewać dramat ludzkiej godności bez zbędnego patosu i fałszywych trików.

Za to **Sancho Pansa** - **Jacek Gierczak** błaznuje od początku do końca i dostarcza widzom wiele uciechy uosabiając ten najbardziej ludyczny i ludowy motyw spektaklu. Prawdziwa perełka to księżulo **Marka Milczarczyka**, który mógłby przypłacić swój prześmiewczy talent ekskomuniką, gdyby nie okupił jego grzechów (jak również wszystkich kolegów) wiszący na kracie w niewygodnej pozycji pokutnik **Janusz Fifowski** - ofiara inkwizycji. Lepszy los



miały już w tym spektaklu nawet przegubowe zwierzęta „pod wierzch”, ruszające się z uroczą gracją.

CO do inkwizycji. Niejedno ma ona jak wiadomo Cimię. A gdy już jakaś puka do naszych drzwi, warto wiedzieć, czego się trzymać i w imię czego. Tak jak wiedział, niezupełnie pomylony wariat z La Manchy.

Może właśnie po to stworzony został ten musical. Choć ci, co mówiąc językiem sztuki - wolą kolację zamiast kontemplacji powiedzą pewnie, że „Człowiek z La Manchy” jest wyłącznie do zabawy. A więc bawmy się (w stylu mauretańskim - niekoniecznie).

Małgorzata Gnot